

Lewe Oko na STS Pogoria

- subiektywna relacja z rejsu „Fajerwerki na rejach” (26.12.2016- 03.01.2017)

26.12.2016, Poniedziałek, Niemce koło Lublina

Pobudka o 3.30. Prysznic i zabieram się za robienie kanapek dla naszej ekipy. Kończę, gdy wstają Magda i Mateusz, szybkie śniadanie i punktualnie o 5.00 wyjeżdżamy z Niemiec. Cieszyłam się na ten wyjazd od sierpnia, kiedy to syn namówił mnie na dołączenie do ekipy jadącej na Sylwestrowy Rejs „Fajerwerki na falach” na STS Pogoria po Morzu Liguryjskim. Morze Liguryjskie- samo brzmienie obiecuje przygodę!

Spełniam marzenia? Podejmuję kolejne wyzwanie? Jadę razem z synem, synową, ich znajomymi i wcale mi nie przeszkadza, że jestem od wszystkich starsza o pokolenie. W Warszawie zabieramy Pawła i jego żonę Ritę, która wsiada do samochodu prosto z dyżuru w szpitalu. Czuję się bezpiecznie pod opieką syna i trojga medyków. Pod Łodzią w Oberży *Złoty Młyn* spotykamy się z Beatą i Julianem, pojawia się też ekipa jadąca autokarem z Gdańska, dalej pojedziemy już razem. Zamawiamy jajecznicę, następny ciepły posiłek czeka jutro na Pogorii. Przed 14.00 docieramy do Wrocławia, tu dosiada się reszta załogi. Przed nami 19 godzin nocnej podróży, Pogoria cumuje w Civitavecchii, mieście portowym znajdującym się około 70 km od Rzymu.

27.12.2016 Wtorek, Civitavecchia

Niebo błękitne bez jednej chmury. Słońce grzeje lewy policzek, z prawej lekki wiatr. Siedzę na dziobie Pogorii, za plecami maszty, żagle zwinięte. Obok na deskach pokładu wygrzewa się Madzia, Mateusz tłumaczy, jak *klarować* żagle, Paweł z Ritą stoją przy relingu, Michał przechadza się po kei. Jest pięknie! Gdybym sobie chciała wyobrazić taką scenę rok temu, zabrakłoby mi wyobraźni.

Przyjechaliśmy przed czasem o 9.30. Italia powitała nas piękną pogodą, mgły powoli unosiły się odsłaniając smukłe cyprysy, przysadziste pinie i kędzierzawe palmy.

Po przyjeździe chwila na rozpakowanie, dostajemy przydział do ósemki ulokowanej w środkowej części statku, obok kajuty mechanika. Blisko do łazienki, mesy, poza tym ciasno, klaustrofobicznie. Na szczęście nie mam klaustrofobii, zajmuję górną koję (poduszka, poszewka, koc) w samym końcu. Do dyspozycji połówka szafy, dzielona z Michałem, szuflada pod dolną koją, półeczka, w sam raz na okulary, lekarstwa i komórkę. Z tyłu koi półka z kapokiem nr 25 (kamizelka ratunkowa), na materacu uprząż. Zagospodarowuję

przeźren, wyciągam śpiwór, jaśka, wiem ręczniki na poręczy koi. Jest dobrze, mogę nawet siedzieć po turecku, zaleta 150 cm wzrostu! Udaje mi się szybko wziąć prysznic, na śniadanie idę odświeżona, nie czuję zmęczenia doba w podróży.

Po posiłku spotkanie na rufie z kapitanem Krzysztofem Jamrozikiem i całą załogą. Poznajemy swoich oficerów, dostajemy przydział do wachty pierwszej, pod dowództwo oficera Andrzeja Witowskiego, sympatycznego młodego (25 lat?) żeglarza.

-Nie dość, że sympatyczny, uśmiechnięty, to jeszcze przystojny, że aż strach! – stwierdzam.

Do naszej ósemki dołącza jeszcze małżeństwo Nina z Michałem i Sebastian, któremu trochę przykro, bo rozdzielili go z dziewczyną, próba znalezienia kogoś na wymianę się nie udała.

Szkolenie zaczyna się od zakładania kapoka, instrukcji spuszczenia szalupy ratunkowej, nakładania, okoliczności i zasad używania uprząży. Ćwiczymy *na sucho* kolejne alarmy: *Człowiek za burtą, opuszczenia statku, pożarowy, innych zagrożeń, wodny, do żagli ...*

Uff, na koniec wszystko mi się myli, ale robię mądrą minę, żeby się nie wydało. Obiecuję sobie wszystko jeszcze raz przestudiować; tablicę z alarmami przywazyłam w mesie podczas obiadu.

Kolej na szkolenie obsługi żagli rejowych. Rezygnuję, odpuszczam wchodzenie na reje, trzeba znać miejsce w szeregu i swoje ograniczenia. Instrukcji z pokładu udziela oficer drugiej wachty, Remek Trzaska, na górze czynności demonstruje Darek Kluczka, oficer wachty trzeciej. Z przyjemnością obserwuję ćwiczenia. Jestem dumna z moich bliskich, Magda z Mateuszem wspinają się błyskawicznie na maszty, z łatwością poruszają się po bukszprycie, wchodzą na reje. Podobny poziom reprezentuje kilkanaście osób, pozostała większość podejmuje próby przełamując lęk, własne ograniczenia i brak sprawności.

Ja zgłosiłam *brak gotowości do wspinaczki po masztach i rejach*, jestem nowicjuszem na żaglowcu, po zawale, nie mam siły w rękach i nie ten wiek. Patrząc po twarzach, jestem najstarsza(?), może tylko pan ze szpakowatą brodą jest z podobnej kohorty wiekowej. Na szczęście bez problemu łapię kontakt z młodymi, potrafię się dostosować, przechodzę *na ty*, zgodnie z żeglarskim zwyczajem, nie jestem starszą panią na wycieczce.

-Gdyby było inaczej, Mateusz nie namawiałby mnie na ten wyjazd – myślę i wzruszam się - *dziękuję Ci Synu, za zaproszenie, za ten dzień pełen wrażeń, emocji, nowych doznań...*

Po szkoleniu na rejach próba postawienia żagla na dziobie (*bomkliwra?*), jeszcze nie opanowałam nazewnictwa, obiecuję, że nadrobię braki. Nowych słów mnóstwo do zapamiętania, a po podróży i intensywnym dniu wszystko mi się miesza.

Usłyszane po raz pierwszy: *knaga, nagiel, klarować, brasować, fały, kontrafały, szoty, sejzingi, dirki, gejtawy, gordingi, brasy...* i wiele innych. Brzmią jak poezja, tylko, kurcze, co znaczą?

Na szczęście dzięki literaturze marynistycznej kojarzę co to: *keja, koja, mesa, kambuz, kubryk, rufa, dziób, reja, trap, cuma, bandera, bulaj, kapok, szklanki, luk, reling...*

I jeszcze wachty: *nawigacyjna, trapowa, kambuzowa, kotwiczna, bosmańska...*

Magda zgłosiła się na starszą wachty, jej zadaniem będzie pomoc oficerowi w organizowaniu pracy, obsadzanie stanowisk podczas wacht morskich i portowych, przydzielanie prac podczas wachty gospodarczej.

Kolacja o 18.30: grochówka z mięsną wkładką, gorąca, dobrze doprawiona, smakuje pysznie. Na drugie sypki ryż, sztuka mięsa, sałatka; kompot kończy posiłek. Kuk Złoty pyta, czy smakowało. Ba! Zjadłam wszystko, po całym dniu na dworze, mam apetyt godny majtka.

Po kolacji idziemy na miasto, robimy małe zakupy; od 20.00 nasza wachta ma dyżur na trapie, ja z Beatą pilnujemy, żeby nikt niepowołany nie wszedł na pokład od 22.00 do 22.45.

Leżę na koi, nad głową szumi wentylator, dmucha zimnym powietrzem, z maszynowni słychać agregat. Młodzi zostali na rufie, noc jest ciepła, dyżur kończy się o północy. Czas spać, jutro wypływamy z portu.

28.12.2016 Środa, Morze Liguryjskie, gdzieś w drodze na Elbę

Wyszłam spod prysznic, przez bulaj świeci słońce, Pogoria lekko się kołysze, niebo błękitne (stan zachmurzenia określany jako 1, czyli $\frac{1}{4}$ nieba pokrywają lekkie chmury), bandera powiewa. Do obiadu pół godziny. Idylla.

Za nami wachta trapowa, wieczór w klasie (pomieszczenie w środkowej części pokładu, przeznaczone do celów szkoleniowych, towarzyskich i w przypadku „Szkoły pod żaglami”-lekcyjnych), za nami pierwsza noc na statku. Po 36 godzinach, dniu pełnym wrażeń, śpię bezproblemowo, nikt z naszej ósemki nie chrapie, budzi mnie piknięcie komórki, o 7.00 dzwonek obwieszcza pobudkę. Do 7.30 czas na poranną toaletę, 7.30 - śniadanie (ryż na słodko, wędliny, ser żółty, warzywa) bez pogaduszek przy herbacie, bo na posiłek czeka druga zmiana.

8.00 – podniesienie bandery i apel poranny. Komunikat kapitana o godzinie wypłynięcia w porcie, bosman Henryk Czerniecki przypomina o porządnym sklarowaniu lin (już wiem, że klar = porządek na statku), mechanik Mirek Bednarz obrazowo wyjaśnia konieczność co

najmniej 15 sekundowego splukiwania toalet (żeby paczki gładko spływały), Złoty (kucharz i motorzysta) podkreśla, że wszelkie pytania podczas wachty kambuzowej kierujemy do starszego wachty lub oficera a nie do niego, ścierki i naczynia z pentry(?) nie mają prawa trafiać do kambuza, środki czystości są w bakiście(?), a po mesie się nie kręcimy, jak się przygotowuje posiłek.

- Groźnie ten Złoty wygląda – myślę, zastanawiając się, co to takiego ten/ta pentra i bakista? Oficerowie nie zabierają głosu; pytań, skarg, zażaleń załoga nie ma, apel się kończy.

Wyskakujemy na szybką kawę na pożegnanie Civitavecchii, cappuccino + croissant z czekoladą smakuje wybornie. Wracamy, o 9.30 kolejne szkolenie: przygotowanie do stawiania żagli. Tym razem oficer Andrzej pilnuje, żebym popróbowwała różnych czynności, przy alarmie manewrowym potrzebna jest każda para rąk, a wczoraj przyznałam się, że jestem po raz pierwszy na żaglowcu. Ćwiczę luzowanie, dociskanie, popuszczanie, pompowanie.... Jak na zupełnie zielonego załoganta idzie mi nieźle, zwłaszcza, jak ktoś podpowiada, jak sknagować szoty albo jakies inne fały. Nazw żagli i takielunku nadal nie opanowałam, ale już wiem, co to nagiel i nagielbank, potrafię zrobić węzeł knagowy (no dobra, czasem mi się myli). Michał komentuje:

-Mateusz, stresujesz mamę, jak cię nie było, knagowała bez zastanowienia.

Coś chyba w tym jest, chciałam się wykazać przed synem i mi nie wyszło.

O 10.30 przejmujemy wachtę nawigacyjną, która co prawda trwa od 8.00, ale podczas stania statku w porcie pokład obsługuje wachta kambuzowa/gospodarcza. Dostaję przydział do kabiny nawigacyjnej, mam zapisywać, co robimy/o której podczas wychodzenia z portu.

-Hm...tylko skąd ja będę wiedzieć, CO robimy/CO się dzieje, skoro niewiele widzę?

Andrzej uspokaja, że będzie podpowiadał, mam zapisywać na brudno, potem on skoryguje zapisy do dziennika pokładowego. Zapisuję zatem wszystko, co widzę, słyszę lub się domyślam:

- ✓ włączono silnik,
- ✓ odcumowano,
- ✓ ponton na pokładzie,
- ✓ mijamy główki portu
- ✓ pozycja: długość, szerokość, stan morza, wiatru, ciśnienie, kurs....

Szczerze mówiąc, stresuję się mocno, gdyby mi ktoś powiedział tydzień temu, że przy pierwszym wyjściu z portu na swoim pierwszym rejsie w życiu będę stać w kabine nawigacyjnej z zadaniem odnotowywania kolejnych manewrów, to uznałabym to za

absurdalny żart. Domyślam się, że moje funkcja nie jest aż tak ważna, skoro oficer powierzył ją nowicjusze, ale nie zmienia to faktu, że staram się ambitnie wywiązać z obowiązków.

O 12.00 zdajemy wachtę, czas wolny do obiadu. Z kambuza docierają zapachy bardzo pobudzający kubki smakowe.

Poleguję w koi. Jestem już całkiem zagospodarowana. Nad głową świetlówka, można pisać i czytać. Po lewej nad głowa półeczka: kosmetyczna, lekarstwa, komórka, okulary. W nogach mieści się torba, stos ubrań „pod ręką”. Pod sufitem półka z kapokiem, przy wkładaniu trzeba pamiętać, żeby latarka była na górze, a gwizdek nie plątał się wokół szczebelek.

- Gwizdek może uratować życie, kto oglądał „Titanica”, wie dlaczego – przypomina bosman.

W środku między kojami wąska szafa na cztery osoby, pod dolną koją dwie szuflady, w swojej trzymam kalosze, buty, spodnie od sztormiaka. Przejście między kojami ok. 80 cm, jednoczesne wyjście z koi czworga mieszkańców powoduje zator, potrzeba jest koordynacja.

W środkowej części kajuty dwie koje (na górze Julian, na dole Beata), naprzeciwko wnęka z dwoma bulajami, miejsce na torby i osiem szafeczek zamykanych jak wszystko na magnetyczny zatrzask uniemożliwiający otwarcie podczas przechyłu statku. Kolejne dwie koje zajmują Magda i Mateusz, obok szafa i naścienny wieszak na sztormiaki. Ciasno, nie ma miejsca na intymność i prywatność, trzeba nauczyć się ustępstw, szanowania i uwzględniania potrzeb współmieszkańców, kompromisu, kiedy tym z tyłu jest zimno od włączonego stale wentylatora, tym z przodu gorąco od grzejnika. Dajemy radę!

Po południu cudne leżakowanie w „Ciehocinku” – tak nazwaliśmy ławkę wzdłuż nawigacyjnej, od zawietrznej. Zachwywanie się błękitem nieba, fal, napawanie bezkresem i spokojem morza. Cudnie! Płyniemy na Elbę, największą wyspę w archipelagu STS, czyli Siedmiu Toskańskich Sióstr. Na horyzoncie po prawej majaczy wysepka Isola del Giglio, obok której w 2012 zatonął włoski statek wycieczkowy Costa Concordia.

Błogi spokój popołudnia przerywają dwa alarmy ćwiczebne; najpierw sprawdzenie gotowości potencjalnej ewakuacji statku, za chwilę alarm „Człowiek za burtą”. Pierwszy – czas 3, 15 (szeptana informacja i obserwacja zachowania oficerów sprawiła, że większość załogi była gotowa z kapokami w rekach w momencie odezwania się pierwszego sygnału). Drugi alarm i wyłowienie pozorowanego człowieka za burtą zajął 7, 5 minuty.

– Człowiek w morzu o temp. $\sim 10^0$ C ma szansę przeżycia około 15 do 30 minut- mówi kapitan podsumowując ćwiczenia.

Zapada zmierzch. Udaje mi się zrobić kilka fotek, niestety magiczna godzina z najlepszym światłem minęła podczas alarmów. Przed nami nocna wachta nawigacyjna, od 0.00 do 04.00, Psia Wachta, jak mówią niektórzy. Dla mnie to kolejne żeglarskie doświadczenie, kolejne wyzwanie. Czas na małą drzemkę, inaczej potem trzeba będzie walczyć z sennością.

29.12.2016. Czwartek, gdzieś na Morzu Liguryjskim w pobliżu Korsyki

Mesa – pomieszczenie w normalnych miejscach zwane stołówką lub jadalnią. Na statku wszystko ma swoją nazwę: kuchnia - kambuz, pentra - zmywak, bakista- ława/skrzynia przy stole służąca jako schowek na blaszane naczynia, środki czystości, worki; ale także schowek pod koją (wczoraj o tym nie wiedziałam, pisząc o szufladzie z butami). Cóż, człowiek cały czas się uczy, a na statku uczy się w trybie przyśpieszonym.

Za nami trudna noc, ciężki dzień. Zaczęliśmy od nawigacyjnej, Psiej Wachty, od 00.00 do 04.00. To było doświadczenie! Kiedy rozespana z ciepłej koi wyszłam na pokład, okazało się, że po sielankowej aurze ani śladu. Ciemno, zimno, do domu daleko. Wiatr wzmagął się z każdą chwilą, fale uderzały o burty, maszty skrzypiały, Pogoria przechylała się niebezpiecznie: przód- tył, przód -tył, przód – tył... Staram się nie myśleć o tym góra-dół, góra –dół, bo jakoś mi się niewyraźnie robi?

Wszyscy pełniemy wachtę w uprzężach, z nakazem przymocowania się do relingu. Tym razem na początek dostaję do objęcia stanowiska Lewego Oka, moim zadaniem jest wypatrywanie świateł okrętów: czerwonych, zielonych, migających, starsza wachty (w cywilu moja osobista Synowa), tłumaczy mi znaczenie poszczególnych kolorów, a ja myślę, jak w tej ciemności w ogóle coś zobaczę? A jak przeoczę? Magda chyba wyczuwa moja obawę, bo dodaje:

-Pogoria ma system elektronicznego śledzenia ruchu statków i uprzedzania o niebezpieczeństwie, ale urządzenie jest dodatkowo wspomagane ludzkim wzrokiem.

-Skoro mam wspomagać, to się będę rozglądać - deklaruje ambitnie i marynarskim krokiem (czytało się literaturę marynistyczną) energicznie podążam na dziób. Ledwo się przypięłam, a już Andrzej mnie stopuje:

-Gosia, dzisiaj Lewe Oko stoi na śródkręciu, tu za bardzo buja, jest niebezpiecznie.

Odpinam uprząż, idę za oficerem, który wskazuje mi moje stanowisko i zaczynam pełnić swoją pierwszą w życiu nocną wachtę. Otaczają mnie ciemności i szum fal, gwizdże wiatr. powoli przyzwyczajam się do nowych warunków, odróżniam niebo od morza, dostrzegam białe grzebień fal, gwiazdy, a gdzieś daleko, daleko chyba coś mruga? Gwiazda? Latarnia?

Statek? Usiłuję zobaczyć coś przez lornetkę, ale moje progresywne okulary nie chcą współpracować z dodatkowym wspomaganiami.

Na szczęście Magda robi obchód stanowisk, melduję o niezidentyfikowanym obiekcie morskim, okazuje się, że to światła dużego statku, kołysanie się Pogorii powoduje, że raz się pojawia, raz znika za horyzontem. A kołysze coraz mocniej, staram się nie myśleć o potencjalnej chorobie morskiej, oddycham głęboko. Na stanowisku zmienia mnie Nina, na chwilę schodzę pod pokład, nakładam nieprzemakalne spodnie, krople rozbryzgujących się fal spadają na pokład. Wracam, z powrotem staję na Lewym Oku, choć Andrzej proponuje dyżur na rufie.

– Już się przyzwyczałam do Lewego - żartuję i zwalniam Ninę z dyżuru, przypinam się i patrzę w noc. Wiatr wzmaga się coraz mocniej, dochodzi do 6-7 stopni w skali Beauforta, dostaję info z nawigacyjnej. Fale uderzają coraz mocniej o burty, dobrze, że te spodnie nałożyłam. Patrzę, oddycham, patrzę, oddycham, staram się nie skupiać na kołysaniu. Na wszelki wypadek przeżuwam kawałki razowego chleba, którego kromkę schowałam w kieszeni wychodząc na wachtę. O zbawiennym działaniu razowca dowiedziałam się swego czasu od przewodniczki na Bornholmie, kiedy to czterogodzinną wycieczkę na duńską wyspę opłaciłam trzema godzinami z workiem przy buzi...

Teraz przekonuję się, że lekarstwo pomaga, żołądek zajęty trawieniem nie reaguje na coraz gwałtowniejsze przechyły. Jest coraz zimniej, a to dopiero połowa wachty, słyszę wybijane szklanki, jest druga w nocy. Nagle pokład jaśnieje, zapalone światła na masztach, bardziej doświadczeni członkowie wachty rozwijają żagle: bomkliwer, kliwer, marsel dolny (mam nadzieję, że nie pomyliłam nazw??). Z zapartym tchem obserwuję pracę załogi, jestem dumna z mojej wachty, z umiejętności młodych ludzi, widocznego doświadczenia niektórych i zaangażowania wszystkich.

Światła gasną, płyniemy na żaglach, ucichł silnik. Schodzę ze stanowiska, zastępuje mnie Michał, dołączam do tej części wachty, która chwilowo nie ma nic do roboty i skupiona wokół Andrzeja stoi na rufie obserwując niebo. A jest na co patrzeć.

– Niebo gwiazdziste nade mną – myślę słowami filozofa i słucham naszego oficera, który, jak się okazało, jest specjalistą od astronomii i przez 10 lat uczył w liceum(!). Jestem zaskoczona, dawałam na wejściu 25 lat, szybko koryguję moje szacunki, musi mieć koło 33?

(Dygresja: -To chyba ta słona woda tak mnie konserwuje, że wyglądam na tak mało lat.- napisze mi później Andrzej w komentarzu na FB, ale to już będzie w zupełnie innych okolicznościach.)

Teraz stoimy na pokładzie Pogorii, na horyzoncie mruga latarnia morska na którejś z tokańskich wysp, a Andrzej opowiada o gwiazdach, pokazuje najjaśniejszego i najbliższego na nocnym niebie Syriusza, inaczej zwanego Psią Gwiazdą, w gwiazdozbiórze Wielkiego Psa. Lokalizujemy Gwiazdozbiór Byka, Plejady, wyraźnym jasnym pasem odcina się Mleczna Droga. Jak pięknie...

Michał wybija 3,5 szklanki, niedługo wachta się kończy, coraz bardziej dokucza zmęczenie, senność, zimno. Koniec, na pokład wychodzi druga wachta, obejmują dyżur do 8.00. Wchodzę na koję, zostaję w bieliźnie termicznej, nie opląca się przebierać w piżamę, za trzy godziny pobudka, otulam się w śpiwór. Zamykam oczy, nawet bujanie mi nie przeszkadza. Spać!

Dzwonek? Już? Ciągłe buja, nie dość, że do przodu, do tyłu, to jeszcze prawa-lewa, prawa-lewa. Boję się poruszyć, do łazienki mam kawałek drogi... Udaje się, w mesie luźniej, nie wszyscy mają ochotę na posiłek. Też nie mam apetytu, ale rozsądnie biorę kromkę chleba, smaruję masłem. Wędliny, ser mnie odrzucają, daję się namówić na gorącą parówkę. Herbata z trzema plasterkami cytryny- super!

Wychodzimy na banderę, kapitan informuje, że z powodu trudnych warunków atmosferycznych zawinięcie do portu na Elbie jest niemożliwe, płyniemy na Korsykę, przed nami cały dzień żegluga, musimy opłynąć cypel Górnej Korsyki, celem jest Zatoka Saint Florent.

Niebo zachmurzone, po gwiazdach ani śladu, udaje mi się jednak złapać w kadr wschodzące słońce nad zostającą z tyłu Elbą.

-Żegnaj Portoferaino, nie dane mi zobaczenie Villi dei Mulini, miejsca zesłania Napoleona, nie spojrzę na najdoskonalszy port na świecie, jak ocenił Elbę admirał Nelson.

Mimo zimna, rozbryzgujących się fal, zostaję na pokładzie, zajmuję bezpieczne miejsce na rufie, przypinam się do stalowej liny, zajęta aparatem nie myślę o chorobie morskiej. Fotografuję fale, stawianie żagli, pojawiające się na horyzoncie wyspy. Po prawej wulkaniczna Capraia, daleko, daleko po lewej skały Korsyki?

Zmaga mnie zmęczenie i senność, a od dwunastej zaczynamy kolejną wachtę nawigacyjną. Odzywa się we mnie głos rozsądku, idę się położyć na dwie godziny. Pokonanie zejściówki nie jest proste, jednak dopiero w wąskim korytarzu odczuwam, jak mocno kołysze Pogorią, dochodzące z kambuza zapachy drażnią. W kajucie wszyscy śpią zmęczeni po nocy,

niektórym dokuczyła choroba morska. Ostatkiem sił wdrapuję się na koję, nakrywam z głową śpiworem i znowu: góra dół lewa prawa góra dół lewa prawa lewa prawa...

Nie myśleć, nie myśleć...

Budzi mnie komórka, uprawiam ekwilibrystykę nakładając kolejne warstwy odzieży i... szybko biegnę do łazienki, nie zważając na zalecenia regulaminowe: „...*przy objawach choroby morskiej nie należy używać umywalek i ustępów. Miejscem zaleconym do wymiotowania jest burta zawietrzna lecz z zachowaniem ostrożności, należy używać pasa bezpieczeństwa...*”

Dobre sobie, konia z rzędem temu, kto z ósemki za mesą wyjdzie (na statku się nie biega!) na pokład schodkami na rufę; zidentyfikuje burtę zawietrzną, przypnie się do relingu i dopiero zrobi to, nad czym raczej nie panuje.

Uff, śniadanie oddałam Neptunowi (i po co było jeść te parowki??), od razu robi mi się lżej. Na wszelki wypadek sięgam po lekarstwo zalecone przez wspomnianą już przewodniczkę z Bornholmu, odkręcam kupioną na tę okazję setkę żołądkowej gorzkiej, pociągam dobry łyk, zagryzam razowcem i od razu robi mi się lepiej. Efekt placebo czy skuteczne oszukanie błędnika? Biorę zapas chleba do kieszeni sztormiaka, (butelecza zostaje w szafce!), zakładam uprząż, jestem gotowa na wachtę.

Zajmuję na ochotnika Lewe Oko i zgłaszam gotowość pozostania na lewej burcie do końca wachty. Nadal wieje, duże fale, ale świeci słońce, Korsyka widoczna w oddali, przez lornetkę widać nawet elektryczne wiatraki na szczytach. Obserwuję horyzont, dwa razy zgłaszam „obiekt na szesnastej”, robię zdjęcia, oczywiście po upewnieniu się, że żaden obiekt nam nie zagraża;-)

Zachwygam się moim TU i TERAZ, dla mnie modne ostatnio duńskie hygge to nie tylko świece, kominek, pled, gorąca czekolada i dobra książka, ale także otaczający nas bezkres, zapach morza, krople i smak słonej wody.. I jeszcze słońce, błękit, chmury już prawie ustąpiły. Patrząc na Mateusza, Magdę, na ich przyjaciół, wzruszam się (ten typ/wiek tak ma), znowu stawiają żagle zwinięte przez poprzednią wachtę, klarują porządnie liny.

W głowie nuci mi się refren hymnu z „Kapitana Borcharda”, żaglowca, na którym Mati zdobywał bosmańskie doświadczenia:

–*Póki żagle białe nad naszym pokładem, damy radę, Kapitanie, damy radę....*

- Damy radę, damy radę- powtarzam półgłosem, odpędzając myśli o tym, o czym myśleć nie chcę, bo z tej morskiej perspektywy nieistotne i blahe...

Na zakończenie wachty pochwała od oficera:

- ...ja bym tyle nie wytrzymał, cztery godziny na Lewym Oku...

-....sama chciałam, bo lubię....- przerywam Andrzejowi i proszę w nagrodę o wspólne pamiątkowe zdjęcie całej wachty.

Prysznic, przebieram się, czas na obiad. Stoły zastawione „na płasko”, nadal kołysze, choć słabiej niż w nocy i podczas śniadania. Z apetytem jem obiad, kapuśniak bosko kwaśny!

-Jak ten Złoty usmażył kotlety schabowe przy takim bujaniu? Szacunek!

Od 16.00 zaczynamy wachtę kambuzową, zwaną także gospodarczą. Trwa 24 godziny, jej zadaniem jest *„utrzymanie porządku i czystości we wszystkich pomieszczeniach, zapewnienie niezbędnej pomocy kucharzowi przy przygotowywaniu posiłków, wydawanie posiłków, zmywanie naczyń i sprzątanie po posiłkach”* (cytat za: Regulamin STS Pogoria)

Robotę skończyliśmy po dwudziestej, kolacja wydana, naczynia umyte, pentra lśni (no, prawie..), ścierki się suszą, chłodnia uporządkowana. Siedzimy w mesie, Beata tłumaczy zawilóści nowej gry planszowej „Munchkin z Karaibów”, przy sąsiednim stole część wachty drugiej gra w karty, słychać przede wszystkim Niccola, Włocha, który razem z bardziej stonowanym Matteo integruje się z załogą. Ja zapisuję czas i wrażenia.

To był trudny dzień. Ale ani przez chwile nie żałuję, że tu jestem. Nieważne zmęczenie, senność, choroba morska. Ważny zachwyty tym, co widzę, w czym uczestniczę, ważna świadomość niepowtarzalności zdarzeń, wartość nowych relacji z ludźmi, emocje, refleksje... Ważne, że jestem na przemian wzruszona i dumna. Tydzień spędzony na Pogorii to mój kapitał na trudne dni, kiedy się traci sens.

Przed chwilą (g.21.50) zbiórka na pokładzie. Dopłynęliśmy do Korsyki, stoimy na kotwicy w Zatoce Saint Florent. Plany na jutro: śniadanie, klar na pokładzie, wycieczka na ląd, powrót na obiadokolację.

30.12.2016 Piątek, Morze Liguryjskie, gdzieś w drodze do Loano

W kambuzie wre praca. Dziewczyny pieką ciasto na Sylwestra. Mechanik Mirek z Beatą, swoją partnerką, przygotowują śledzie; wielka misa przyciąga zapachem pokrojonych matjasów i cebuli. Inni odpoczywają, część naszej wachty siedzi obok i rozmawia, ja obserwuję, słucham, piszę.

-Strach się odezwać, nie wiadomo, co trafi do druku - żartuje Michał.

Uśmiecham się, już wiedzą, że to mój czas na utrwalanie wrażeń, emocji, zapisywanie dnia; ku pamięci, na chwile powrotu do wspomnień, na dowód tego, że to wszystko dzieje się naprawdę, że tu jestem i w mesie na Pogorii w przedostatni dzień roku popijam żurawinowy kisiel. Co w innych kubkach, nie sprawdzam, humory dopisują. Wracam myślą do poranka.

Pobudka o 6.30, wachta kambuzowa, musimy przygotować śniadanie dla wszystkich, potem sprzątanie. Jesteśmy zgranym zespołem, nikt się nie miga, starsza wachty rozdzieliła pracę, pucujemy łazienki i toalety, mnie dostała się w przydziale nasza, czyli położona najbliżej kajuty mechanika i ósemki. Kto skończył, siada do obierania ziemniaków i warzyw na obiadokolację, Michał J. odkurza, pozostali panowie jeszcze kręcą się z mopami, wycierają na mokro powierzchnie płaskie, Julian kończy zmywanie, układa naczynia w bakistach. Po dziewiątej jesteśmy gotowi, szykujemy się na wycieczkę, Korsyka czeka.

Stoimy w zatoce San Filrenzu na kotwicy, załogę na ląd przewożą pontonami Złoty i Andrzej, desant odbywa się sprawnie i wkrótce wszyscy chętni są na wyspie.

Saint Florent to według turystycznych informacji takie Saint Tropez w pigułce. Dookoła szczyty gór, nad zabytkowymi budynkami koloru jasnego piasku góruje cytadela pochodząca z VX wieku, na dole port jachtowy, plaża. Obejście miasteczka zajmuje nam niecałą godzinę, razem z przystankami na zdjęcia. Z góry fantastyczny widok na zatokę z miniaturową z tej odległości Pogorią. Zachwyca mnie śródziemnomorska roślinność, mimo grudnia bujna, zielona: na drzwiach cytryny, dojrzałe klementynki, pomarańcze, zdarza się kwitnący hibiskus, palmy przyciągają wzrok pomarańczowymi kiściami. Kwiaty czy owoce? Nie wiem, biologia nie jest moją mocną stroną. Poznaje platanów po łupiącej się korze, chowam do kieszeni wielką szyszkę pinii.

Kupujemy widokówki, drobne pamiątki i siadamy całą paczką na Place des Portes, przy kawiarnianych stolikach pod platanami. Do naszej ósemkowej ekipy dołączyli jeszcze oficerowie Darek Kluczka i Remek Trzaska. Darek poleca lokalne piwo kasztanowe, zamawiamy...

Jest pięknie. Błękitne niebo, na platanach żółtozłote liście, słońce grzeje, bawią się dzieci, ludzie spacerują, chyba nikt tu się nie śpieszy. Siedzimy, piszemy kartki, żartujemy, piwo poprawia humory, rozluźnia języki. Panowie pokpiwają z mojego pedagogicznego nastawienia, a wszystko dlatego, że zapytałam, gdzie mogę znaleźć podstawowy słowniczek

żeglarskiego języka. Darek tłumaczy mi, że ...Bakista to sklep żeglarski w Świnoujściu i mam sobie to zapamiętać, będzie sprawdzał.

-Naprawdę widać po mnie, że jestem pedagogiem?

-Widać, widać, ale takim nieschematycznym- słyszę w odpowiedzi i ta odpowiedź mnie satysfakcjonuje. Pedagogiczność mam w genach, indywidualizm praktykuję od dzieciństwa.

Idziemy dalej zwiedzać, spotykamy Polkę, która sama zagaduje, słysząc polski język. Przyjechała tu za chłopakiem, spodobał się jej klimat (no myślę!) i została już z mężem, z wózka uśmiecha się czarnooka ślicznotka. Tłumaczy, gdzie warto zjeść dobry posiłek, czujemy głód, morze zaostrza apetyt.

We wskazanej restauracji obiad kończą już Nina z Michałem, polecają lokal, zatem wchodzimy, zamawiamy potrawy z lokalnej karty: wybieram cannelloni al brocciu, Mateusz kalmary, Magda wieprzowinę z tutejszych świń karmionych kasztanami, specjalność korsykańskiej kuchni, Julian decyduje się na stek, inni...? już nie pamiętam. Z pewną dozą niepokoju czekamy na realizację zamówienia, francuski nie jest naszą silną stroną, lepiej wychodzi pokazanie palcem w karcie, co chcemy... Tylko, czy na pewno to, co dostaniemy będzie zgodne z naszymi wyobrażeniami o tym co chcemy?

Nie jest źle, kelner stawia przede mną zapiekany makaron z owczym serem i szpinakiem, Michał dostaje półmisek ze spaghetti, reszta ekipy też zadowolona, wszystko pachnie obłędne, smakuje podobnie. Czas na deser: mój wybór jest strzałem w dziesiątkę, choć strzelałam w ciemno, założyłam, że deser musi być dobry. Fiadone okazał się być rewelacyjnym sernikiem, lekko zaprawionym jakimś alkoholem, waniliowa panna cotta pyszna, spróbowałam kawałek od Mateusza, tarta cytrynowa Magdy dla mnie troszkę za kwaśna. I jeszcze cappuccino, espresso, latte - do wyboru. Z naszego posiłku w Saint Florent nieco niezaspokojony wyszedł tylko Michał, może sam o tym opowie, jak zechce;-)

Wracamy do portu, Andrzej czeka z pontonem, drugim na żaglowiec przewozi Złoty. Wszyscy na pokładzie, za chwilę kończymy wachtę kambuzową, obejmujemy nawigacyjną.

O 16.00 podnosimy kotwicę i zostawiamy za sobą Saint Florent żegnani zachodem słońca nad skalistymi szczytami Korsyki. Chwilowo nie mam żadnych obowiązków, wykorzystuję możliwość utrwalania widoków, szukam fajnych ujęć, Julian mnie zainspirował. Morze gładkie, płyniemy na silniku.

Robi się ciemno, wschodzi księżyc; utrzymując się w konwencji lekkiego kiczu powinienam napisać srebrnozłoty sierp księżycy przecina granatowy nieboskłon; -). Sprawniejsza część wachty stawia żagle. Ja stoję tradycyjnie na dziobie, dzisiaj jestem Prawym Okiem.

Przypinam się do stalowej liny, dookoła ciemność, szumi morze, fale uderzają o burtę, pracuje silnik, trzy trójkątne żagle na dziobie (latacz, bomkliwer, kliwer) nie dają rady nadać odpowiedniej prędkości. Na horyzoncie błyskają światła lądu, wreszcie wyspa zostaje za nami.

Patrzę w gwiazdy, mruga Syriusz, rozpoznaję Mały i Wielki Wóz, lokalizuję Gwiazdę Polarną, ostatnią w dyszlu Małego Wozu - tak mnie uczyła mama, przypominają mi się wędrówki z dzieciństwa za rękę z rodzicami...

Myślę o tym, co się zdarza, na co mamy wpływ, myślę o moim /naszym życiu Tu i Tam. Skupiam się na tym, co dobre, co warto pamiętać... Karmię Dobrego Wilka.

Nie znasz opowieści o dwu wilkach?

Pewien Indianin nauczał swoje wnuki. Powiedział im tak:

– Wewnątrz mnie odbywa się walka. To straszna walka.

Walczą dwa wilki: jeden reprezentuje strach, złość, zazdrość, smutek, żal, chciwość, arogancję, uzalanie się nad sobą, poczucie winy, urazę, poczucie niższości, kłamstwa, fałszywą dumę, poczucie wyższości i ego. Drugi to radość, pokój, miłość, nadzieja, chęć zrozumienia, hojność, prawda, współczucie i wiara. Taka sama walka odbywa się wewnątrz was i każdej innej osoby. Dzieci myślały o tym przez chwilę, po czym jedno z nich zapytało:

– Który wilk wygra?

– Ten, którego nakarmisz – odpowiedział stary Indianin. (<http://qualitylife.pl/quality-life/czytelnia/inspiracje/dwa-wilki/>)

Niezależnie jak toczy się moje życie, staram się karmić Dobrego Wilka, ten Zły sam się wyżywi, ma dość karmy w dzisiejszym świecie.

Otoczona morzem i niebem uświadamiam sobie z całą mocą jak nieważne są polityczne przepychanki, telewizyjne debaty, demonstracje, manifestacje, fejsbookowe lajki i powarkiwania. Uświadamiam sobie nieuchronność przemijania rzeczy małych, nieistotnych; dostrzegam wyraźniej wartość dobrych relacji, bezpieczeństwa, zaufania, spokoju.

-Póki żagle białe nad naszym pokładem, damy radę Kapitanie, damy radę – nucę półgłosem, przekonuję sama siebie?

A w mesie dziewczyny nadal kroją jabłka na szarlotkę, mama Wiktorii trze kakaowe ciasto na spód do sernika, w piecu rośnie makowiec Magdy. Mateusz tłumaczy Beacie działanie jakiejś bardzo skomplikowanej liny, robi szkic w moim notatniku. Dosiada do nas Kapitan, rozmawiamy o ludziach, których praca szuka i nie pozwala zwolnić obrotów. O ludziach, którzy potrafią korzystać z tego, co przynosi los, karmią Dobrego Wilka. Rozmawiamy o nas...

Z głośnika płynie włoska aria.

Przedostatni dzień 2016 roku spędzam dobrym towarzystwie, z bliskimi ludźmi.

Czas na sen. Pobudka o 3.30, o 4.00 przejmujemy wachtę nawigacyjną.

31.12.2016 Sobota – Sylwester, Loano, Wybrzeże Liguryjskie

Mesa to serce statku, miejsce spotkań, rozmów i z powodów oczywistych miejsce działań kulinarnych. Ciąg dalszy przygotowań do sylwestrowego przyjęcia, które zaczynię się za kilka godzin. Tace pełne kolorowych koreczków, na drugim stole półprodukty: sterty pokrojonej kiełbasy, kabanosów, żółtego sera. Ktoś ściera ogórki do tzatziki, ktoś inny wybiera oliwki ze słoika, ktoś kroi paprykę...- *tylko równe kawalki!* - przestrzega Złoty. Pracuje wachta kambuzowa i chętni. Reszta ma wolne. Co się wydarzyło od wczorajszego wieczora?

Komórka pika o 03.35. Z trudnością otwieram oczy, przez chwilę nie kojarzę, gdzie jestem. Wieczorem nie mogłam zasnąć, tabletką zadziałała późno. Zaczynamy ostatnią wachtę nawigacyjną, od 4.00 do 8.00 - świtówkę. Ciemno, zimno, Pogoria przecina ciemnogramatowe morze, jest spokojnie, odczuwam tylko lekkie kołysanie, całkiem przyjemne. Gwiazdy zblakły, Wielki Wóz prawie w zenicie, nie bardzo mam na czym zaczepić oko, jesteśmy na pełnym morzu, daleko od lądu. Żaden obiekt nie urozmaica żeglugi, żadna latarnia nie mruga. Telepię się z zimna i niewyspania, nałożyłam na siebie kilka warstw odzieży, podwójne rękawiczki, sztormiak, ocieplane kalosze, a mimo to czuję wilgotny dojmujący chłód. Nic dziwnego, to koniec grudnia, a ja od 2009 roku, po zawale, szybko marznę, tarczyca nie wyrabia na zakrętach;-)

Dość marudzenia, do obowiązków wachty świtowej należy poranny klar na pokładzie, w ruch idą szczotki, ścierki, i woda z węża, jakby tej z morza było mało. Michał polewa wszystkie zakamarki, wypłukuje brud i śmieci, które zebrały się w mniej dostępnych miejscach. Sebastian mopem wyciera pokład, Nina pucuje drewniane wykończenie relingu, pokryte szronem morskiej soli.

–I pomyśleć, że jeszcze zapłaciłam za to, żeby w środku nocy latać z mokrą szmatą po pokładzie - żartuje z uśmiechem, bo to nie jest narzekanie, raczej dziwienie się, co też człowiekowi może sprawiać przyjemność na morzu;-)

Ale jak inaczej, skoro nawet nasz oficer chwycił za szczotkę, znaczy, też masochista pokładowy. Jeszcze sprawdzenie, czy marsel dolny porządnie zwinięty, czy liny sklarowane i kończymy robotę. W nagrodę dostajemy w żeglarskim pakiecie wschód słońca ze wszystkimi efektami kolorystycznymi.

-Gdyby się ktoś pytał, po co ja tu... to także dla takich chwil – myślę.

Zaraz apel, załoga gromadzi się na rufie, Mateusz sprawdza wędki zostawione na noc. Coś się złapało? Linka stawia opór, Mat kręci kołowrotkiem, wieść ...*coś złapał*.... szybko się rozchodzi, widzów przybywa, czekam w napięciu z włączonym z aparatem, mając w pamięci ogromnego tuńczyka złowionego przez syna w rejsie na Wyspy Zielonego Przylądka, takiej okazji nie przepuszczę, zrobię zdjęcie roku... coś wyraźnie stawia opór!

I wreszcie.... jeeest, ...hm... jakby to ująć? Wybuch śmiechu kończy wędkarską akcję, tym razem to tylko foliowy worek; -) I bardzo dobrze, różne są sposoby dbania o czystość morskiej toni.

Ostatni apel na morzu w tym roku. Wszystkie wachty w komplecie. Magda z Mateuszem podnoszą banderę, słońce oświetla pokład, bandera łopoce, ja się wzruszam, tradycyjne. Kapitan informuje, że około trzynastej planowane jest wypłynięcie do portu, po obiedzie czas wolny, impreza sylwestrowa zaczyna się o dwudziestej w mesie.

Bosman wymienia prace, które trzeba jeszcze zrobić przez przybiciem do lądu, Pogoria musi lśnić na powitanie Nowego Roku, wszyscy mają być do dyspozycji do pracy.

Schodzimy z wachty, jemy śniadanie i padamy na koje jak zabici. Intensywność wydarzeń, wczorajsze wieczorne siedzenie, pobudka w środku nocy, poranne sprzątanie daje się we znaki. Budzę się przed jedenastą, biorę prysznic i wychodzę na zalany słońcem pokład. Na horyzoncie otoczone szczytami Loano.

Sesja fotograficzna: korzystam z okazji, chwilowo nic się nie dzieje, tło malownicze, a firmowa bluza Pogorii aż się prosi o nałożenie.

– Mirku, dziękuję za znalezienie kangurki w rozmiarze S, jest super, warta 150 zł;-)

Uwaga: lokowanie produktu!

Alarm manewrowy, wpływamy do portu. Każda wachta zajmuje swoje miejsce, pierwsza wachta obsługuje cumy, szpringi, rzutki na dziobie pod dowództwem bosmana i oficera. W czasie manewrów na silniku dla części załogi nie ma nic do roboty, zatem by nie przeszkadzać w czynnościach manewrowych, zajmuję bezpieczną pozycję za klasą na diametralnej statku (umowna linia łącząca dziób z rufą) i dokumentuję fotograficznie, co się da. Tym sposobem wachta pierwsza została uwieczniona w całej okazałości TWA, czyli Towarzystwa Wzajemnej Adoracji, jak określiliśmy po tygodniu stan zażyłości i wzajemnych relacji.

Pogoria stoi przy kei w porcie w Loano, czas na obiad, potem ruszamy na miasto.

01.01.2017 Niedziela Nowy Rok, Loano

Siedzę na dziobie Pogorii, oparta o ścianę klasy. Grzeje słońce. Zza pierzastych białych obłoków coraz więcej błękitu – to po lewej. Z prawej ciemnoniebieskie skłębione chmury opierają się o szczyty górskiego pasma Wybrzeża Liguryjskiego. Między górami i morzem, w dolinie rozciąga się Loano, port jachtowy, plaża, bulwar i moło. Słysząc pociąg, kolejkę łączącą nadmorskie miejscowości. Po sylwestrowej nocy na pokładzie cisza i spokój. Mogę zanotować mijające chwile, zatrzymać wczoraj, zanim zblednie, zszarzeje, odejdzie w niebyt...

Stary Rok żegnamy w porcie. Po obiedzie zostawiam młodzież na pokładzie, część odsypia pieczenie ciasta i nocne żeglarzy rozmowy, idę rozpoznać teren. Małe zakupy: gorzka czekolada z myślą o J., likier czekoladowy dla mnie, czekoladowe drobiazgi dla koleżanek. Kocham czekoladę! Zanoszę wszystko na statek i idę na spacer nadmorską promenadą, szkoda czasu na siedzenie, kiedy tyle do obejrzenia. Bulwar pełen ludzi, najwięcej bambino, dzieci w różnym wieku: w wózkach, nosidełkach, na rękach, starsze na rolkach, rowerkach, rowerach. Drugą liczną grupą są ludzie starsi, dojrzalsi ode mnie, tak na oko 60 -70+. Większość ubrana ze sportową elegancją, czasem z przyciągającą wzrok ekstrawagancją, jak ta pani w futrze, z przepięknym wiśniowym szalem i wąskich rurkach w podobnym odcieniu. Trzecia grupa spacerowiczów: psy. Małe i duże, rasowe, w obrózkach, na smyczy, w uprzęży, w nosidełkach i na rękach. Psy wyczesane, ufryzowane, te najmniejsze w kubraczkach i bucikach; podobne do swoich właścicieli, może odwrotnie?

Siedzę w jednej z nadmorskich kawiarenek, kończę cappuccino, patrzę bez oceniania, słucham bez rozumienia, nic nie muszę, nigdzie się nie śpieszę... Za kilka godzin skończy się mijający rok, ale nie mam ochoty na podsumowania, bilanse i plany. Czasem tak lepiej.

Zapada zmierzch, robi się zimno, wracam i trafiam w sam środek przygotowań do zabawy sylwestrowej. Temat przewodni imprezy: uczta rzymskich bogów i herosów.

Nasza kajuta zamieniła się w pracownię krawiecko- kostiumową, prym wiedzie Magda, wykorzystując cały arsenał materiałów, taśm, biżuteryjnej pasmanterii przygotowanych przez Gosię S. (buziaki i podziękowania!) i kupionych w lokalnych sklepikach z chińszczyzną. Michał cały na białło przypomina raczej arabskiego szejka, ale niech mu tam, może być rzymskim bogiem obfitości, Mateusz z młotkiem mechanika robi za Hefajstosa, Julian z gruszką na głowie, wygląda jak młody bóg ...albo nawet bogini - dopowiada ktoś. Dlaczego gruszką? Tego nie wie nikt, ale mu do twarzy, uwydatnia wrodzoną inteligencję i skromność. Dziewczyny na czarno, z jednym okiem na czole, wcielają się w Mojry. I zaraz dyskusja, która najstarsza, najważniejsza, jakie mają kompetencje. Paweł sprawdza w Internecie: Nona opiekuje się ciężarnymi w dziewiątym miesiącu ciąży, Decima to bogini porodu, Morta czuwa nad śmiercią. W zasadzie wszystko się zgadza, uwzględniając fakt, że dziewczyny w cywilu robią: jedna specjalizację z ginekologii, druga z anestezjologii...

Ja przebieram się w strój Kupidyna, bogini ze mnie żadna! Na Dianę czy inną Florę nie pasuję, jak na Westę za dużo mnie nosi po świecie, na stateczną Junonę się nie nadaję. A Kupidyn, bożek miłości, który pragnie dobra i piękna – pasuje mi w sam raz. I parametry mam odpowiednie, jak na małego bożka. Dostaję w prezencie cudne różowe skrzydełka, różową perukę, łuk mam własny, za całe 5 zł ze sklepu z zabawkami. Wyglądam tak obciachowo, że wywołuję spontaniczną sesję fotograficzną dziewczyn z trzeciej wachty!

Zaczyna się impreza, szczerze mówiąc, to nie do końca moje klimaty, kwestia wieku i charakteru, dużo we mnie introwertyka, dyskotek nigdy nie lubiłam, na szkolnych zabawach się męczyłam. Bosman chyba ma podobnie, siedzimy w mesie, rozmawiamy, to znaczy on mówi, ja bardziej słucham, potakuję, rozumiem (?). Podobny wiek, życiowe doświadczenia, pozwalają na pewien dystans, przywilej dojrzałości.

-Z wiekiem przychodzi mądrość, doświadczenie i dystans - tak mówią – niestety, znam przypadki, kiedy wiek przychodzi sam...

Zbliża się północ, dzwonek zaprasza załogę na pokład. Każda wachta ze swoimi trunkami, kubkami, w szampańskich – nomen omen - humorach. Kapitan (w wersji pełna elegancja),

składa życzenia, otwiera szampana. Wyją okrętowe syreny, niebo rozświetlają fajerwerki. Życzenia, całusy, uściski...

Przytulam się mocno do syna, do Madzi:

-Dziękuję Wam za wszystko...

- Polecamy się na przyszłość – słyszę w odpowiedzi. Jak dobrze, że jestem tu z najbliższymi. Nie mam ochoty na uściski z każdym i wszystkimi, mój wewnętrzny introwertyk protestuje, ale szczerze przyjmuję słowa sympatii, życzenia od wszystkich, którzy mnie znajdują w kąciku na rei... I wzajemnie, życzę dobra, nadziei, spokoju...

Po północy z ulgą kładę się do łóżka, zaczy się do koi, zasypiam prawie od razu, budzi mnie dzwonek na zbiórkę: bandera na maszt!

Ostatni wieczór w mesie, jutro o tej porze będziemy w autokarze do Polski. Pustawo: ktoś czyta, ktoś przegląda śpiewnik pozostawiony po sylwestrowo/szantowej nocy. W kajutach pakowanie na raty, jednoczesna obecność wszystkich uniemożliwia działanie. Beata w mesie oficerskiej projektuje wpis do Księgi Pamiątkowej Pogorii, dzisiaj tam skupia się życie towarzyskie statku. Pozostali odpoczywają, zmęczeni nocną imprezą i wycieczką do San Remo, które postanowiła zwiedzić część załogi.

Wachta kambuzowa ma pełne ręce roboty, w pentrze kończy się zmywanie po obiadokolacji, na jutro trzeba przygotować posiłki dla starej i nowej załogi, ponad setka osób. Złoty nie w humorze, usłyszał kilka komplementów za „tekturowe mistrzostwo świata” - pulpety podane na drugie danie.

-Oj tam, oj tam, a kto wczoraj nie mógł się nachwalić carpaccio z długo dojrzewającą w kambuzie szynką? A koreczki we wszystkich smakach? Sosy do mięs w trzech kolorach? Jak to się szybko zapomina, co dobre. A że dzisiaj oprócz rewelacyjnego kapuśniaku pulpety z puszki? Ktoś w końcu musiał to zjeść.

Kontynuując kulinarny wątek, odnotuję z kronikarskiego obowiązku, że ciasteczka Beaty zachomikowane na dzisiejszy wieczór upłynęły się równie szybko jak nalewka Mata serwowana wybranym;-).

A jak minęła mi noworoczna niedziela w Loano?

Po śniadaniu dwugodzinny spacer z aparatem w ręce: zbieram w fotograficzne kadry, widoki, zachwyty i zadziwienia. Zaglądam do kościoła, pustawo, turystyczny tłum z dziećmi przed

szopką. Cappuccino z czekoladowym croissantem i widokiem na morze. Wracam na Pogorie, notuję wrażenia i czekam na młodych odsypiających szantową noc.

I już idziemy na miasto, najpierw wstępujemy do Varma Caffè, prosimy espresso, cafe lungo, latte i coś mocniejszego... do wyboru, do koloru, do smaku. Siedzimy, żartujemy, plotkujemy, komentujemy. Czas płynie, uliczki pustoszeją, postanawiamy jeszcze coś zjeść przed powrotem do portu.

Łatwo powiedzieć... Znalezienie w centrum Loano lokalu zdolnego obsłużyć osiem głodnych osób w Nowy Rok w porze sjesty okazuje się nie lada wyzwaniem, z którego wychodzimy pokonani. Z przyzwoitości nie odnotuję, czym skończyły się nasze kulinarne poszukiwania, za to wyciągnęliśmy wnioski: jutro zaklepiemy miejsce w lokalu przed sjestą!

Wieczór ciepły, słońce zachodzi ze wszystkimi efektami, zapada zmierzch. Przede mną ostatnia noc na pokładzie.

04.01.2017 Środa, Niemce, koło Lublina

Swoje wrażenia z rejsu skończyłam zapisywać w niedzielę, potem nie było możliwości notowania. Zatem to, co poniżej, pisane z retrospekcji, dla zamknięcia relacji, by wspomnienie zamknięte zostało w ramki zakończenia, jak uczono mnie i jak ja uczyłam.

Miejsce pisania: biurko, na którym w nieładzie leżą: przewodnik „Wybrzeże Liguryjskie”, „Podręcznik Oficera wachtowego STS Pogoria.” Wydanie 6 z 2011 (pożyczony od Magdy), wydrukowana w kolorze i formacie A4 strona 29 tegoż podręcznika ilustrująca „Układ i nazwy olinowania i żagli”, „Śpiewnik żeglarski” kupiony gdzieś/kiedys...

Na korkowej tablicy, na której ważne dla mnie cytaty, terminy i kontakty na samym środku „Opinia z rejsu”. Co podniosę wzrok, to czytam:

Koleżanka: *Małgorzata Nowak*

Stopień żeglarski: *nie posiada*

Pełniła w czasie rejsu funkcję: *załoga*

Z obowiązków wywiązywała się: *bardzo dobrze*

Odporność na chorobę morską: *chorobie nie podlegała*

Odporność w trudnych warunkach żeglugi: *nie sprawdzano*

Nadaje się: *do szkolenia*

Inne uwagi: *Bardzo, bardzo dziękuję za rejs ☺*

Oficer Wachtowy: *Andrzej Witowski- podpis*

Inne ważne informacje znajdują się na pierwszej stronie, zatytułowanej „Karta rejsu”, dane techniczne statku, daty, miejsca, szczegóły żeglugi, w tym: liczba przebytych Mm- 263, liczba godzin przy wietrze o sile ponad 6B – 6. Podpis: Kapitan STS Pogoria: Krzysztofa Jamrozika.

Oglądam zdjęcia, wracam do dni, które jeszcze tam, nie tu, się działy.

Poniedziałek, ostatni dzień na Pogorii - *najtrudniejszy dzień* - tak powiedział kapitan podczas porannego apelu. Bo stara załoga, z którą już nawiązane relacje, znajomości, musi nowej ekipie ustąpić miejsca, także w dosłownym znaczeniu. Torby spakowane, szafy wysprzątane, koje zaścielone, śmieci wyniesione. I najlepiej, żeby nie kręcić się po statku, jak już nowi przyjadą, bo oni po podróży trwającej dobę, trzeba ich zaokrętować, nakarmić, przeszkolić. A my możemy wyjechać dopiero wieczorem, kierowcy muszą odpocząć.

Zatem idziemy w miasto, wstępujemy na kawę do Verma Caffè, właściciel z daleka uśmiecha się na nasz widok i obiecuje, że jutro upiecze więcej croissantów z czekoladą, dzisiaj zostały tylko z miodem i orzechami. Tylko nas jutro już tu nie będzie....

Zaklepujemy miejsce w Il Basilico, Pizzeria Napoletana, dla ośmiu osób, żeby nie skończyło się jak wczoraj, na oglądaniu drzwi lokali w czasie sesji. Umawiamy się na 12.00 i każdy rusza w swoją drogę. Robię zdjęcia, zaglądam w uliczki, do sklepików, kupuję plecak, którego materiał i piaskowy kolor w barwne nadruki kojarzy mi się z włoskim miasteczkiem; i jeszcze kupuję szal, podobny do tego, w jaki owinięta była ekstrawagancka Włoszka w futrze na nadmorskiej promenadzie. Futra nie kupuję, dodam dla ścisłości, może następnym razem.

I już zajmujemy miejsca w Il Basilico, bruschetta con pomidori i..con... coś tam znika szybko z talerza, na stole pojawiają się pizze, każda inna, każda wielkości półmiska, tylko Mat i Michał się wyłamali i jeden jakieś morskie stworzenia (małże?) jadł, drugi coś jak hamburgery(??)ale nie wiem, co to było, bo siedziałam po drugiej stronie stołu. Moja pizza, jak półksiężyc, z rozpływającym się serem, szynką i listkami bucoli. W planach mieliśmy jeszcze deser, ale nie daliśmy rady...

Wracamy na statek, a tam już nowi na rejach, nasz Andrzej już jakby nie nasz, szkoli tych nowych.

Na apelu podziękowania, pożegnania, wzruszenia.

- Jacy ludzie, taki rejs – komplement kapitana w wersji skróconej, wystąpienie było dłuższe.

Pingwin do zamrażania wody wręczony Pingwinowi.

Akwarelka namalowana przez Beatę dla Henia Czernieckiego, bosmana, w podziękowaniu... za wszystko.

Oficerowie wręczają Karty rejsu, nasz oficer się zapodział gdzieś na masztach, nie podarujemy, skandujemy: An-drzej, An-drzej, aż schodzi, przychodzi, wręcza, dziękuje(my), wzrusza(my) się... Nowe przyjaźnie już zamieniają się w małe tęsknoty....

Jeszcze obiadokolacja, Złoty, wybacz, nie pamiętam, co było, ale smaczne i wszystko zjadłam. Obsługują nas nowi, w pentrze jakiś obcy ze ścierką.

I już bagaże do autokaru, jak ja nie lubię pożegnań!

-Bakista?...na pytający głos Darka bez namysłu odpowiadam- sklep żeglarski w Świnoujściu.

Dziękuję, są ludzie i miejsca, które zostają w pamięci, dziękuję....

We Wrocławiu wysiada większość ekipy, podziękowania dla Karola Boronia, głównego organizatora wyjazdu. W oberży pod Łodzią *Złoty Młyn* jemy obiad, przesiadamy się do czekającej na parking skody, autokar jedzie dalej do Gdańska. W Niemczech jesteśmy po dwudziestej, Mateusza i Madzię czeka jeszcze powrotna podróż do stolicy, jedzą kolację, pakują koty i w drogę...

A ja nie mogę zasnąć, brakuje mi kołysania?

15.01.2017 Niedziela, Niemce

Trzy tygodnie temu, w niedzielę Bożego Narodzenia o tej porze sprawdzałam po raz enty listę rzeczy, które powinnam zabrać ze sobą na rejs:

- ✓ lekarstwa - są
- ✓ paszport - jest
- ✓ komórka +ładowarka - są
- ✓ aparat, ładowarka, zapasowa karta pamięci, karta Ekuz, zapasowe okulary, przewodnik, notes...

Lista była długa, zapisywanie i sprawdzanie to mój sposób na rajzefiber, stan zdenerwowania, który zawsze wywołuje we mnie perspektywa podróży...

Dwa tygodnie temu w niedzielę Nowego Roku 2017 siedziałam o tej porze w mesie na Pogorii zapisując wrażenia, chwile i emocje....

Dzisiaj, w niedzielę, dzieje się: po raz 25 gra Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, Kamil Stoch wygrał po raz trzeci z rzędu zawody Pucharu Świata, wczoraj zaczęły się ferie, w piątek na ekrany kin weszły świetne filmy, („Powidoki”, „Konwój”), w poniedziałek PAD podpisał... bo jakżeby inaczej.... Wracam do rzeczywistości, codzienności.

Kończę swoją subiektywną relację z rejsu „Fajerwerki na rejach”. Pierwszy wpis zamieściłam piątego stycznia. Ilość polubień, pozytywne komentarze, zachęty do pisania, spowodowały, że przez dziesięć dni wieczorem wracałam na Pogorię, do ludzi i miejsc, z którymi i w których było mi dobrze. Wracałam do chwil, w których byłam szczęśliwa i znowu się uśmiechałam... I czytałam komentarze, liczyłam lajki i serduszka i się uśmiechałam. I teraz znów mi się samo uśmiecha, choć czasem wcale tak łatwo nie jest.

I za te moje uśmiechy, za to, że znowu coś mi wpadło do oka - Wam, czytającym moją relację- dziękuję. Bo fajnie jest wiedzieć, że ktoś na Ciebie czeka, że kogoś interesuje, to, co masz do napisania, powiedzenia.

Dziękuję całej załodze za tydzień na Pogorii, w szczególności kapitanowi Krzysztofowi Jamrozikowi, Bosmanowi Henrykowi Czernieckiemu, Mechanikowi Mirkowi Bednarzowi, Kucharzowi Złotemu Piotrowi Lewandowskiemu, oficerom wachtowym: Darkowi Klucze, Remigiuszowi Trzasce i Karolowi Boroniowi.

Dziękuję pierwszej wachcie, Oficerowi Andrzejowi Witowskiemu - za uśmiech, życzliwość i profesjonalizm.

Najmocniej dziękuję Madzi i Mateuszowi, Wy już wiecie, za co.

Małgorzata Nowak